



Zwalczanie „kłamstwa oświęcimskiego” a swoboda badań i opinii

- „Kłamstwo oświęcimskie” w polskim porządku prawnym • „Polskie obozy śmierci” jako element „kłamstwa oświęcimskiego” • Jak inne państwa zwalczają negowanie zbrodni III Rzeszy? • „Kłamstwo katyńskie”, czyli druga strona tego samego medalu



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

ODWAGA
DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI



Teren obozu na Majdanku
FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

51 JAKUB OSTROMĘCKI ZBRODNIA, KŁAMSTWO I KARA

„Kłamstwo oświęcimskie” to termin ogólny, bardzo chwytliwy, ale nie dotyczy on jedynie negowania faktu mordowania ludzi w Auschwitz, lecz w ogóle zaprzeczania zbrodniom III Rzeszy. Od zbrodni przeciw pokojowi do masowych egzekucji i komór gazowych.

55 PIOTR WŁOCCZYK PRAWNY BAT NA FAŁSZERZY

Polska penalizuje „kłamstwo oświęcimskie” podobnie jak inne kraje Europy Środkowej, zakazując negowania zbrodni niemieckich na równi z kłamaniem na temat mordów komunistycznych. Zupełnie inaczej podchodzi do tego Zachód.

59 MINISTER MARCIN ROMANOWSKI

MÓWIENIE O „POLSKICH OBOZACH KONCENTRACYJNYCH” TO KŁAMSTWO OŚWIĘCIMSKIE

Z wiceministrem sprawiedliwości rozmawia Jacek Przybylski.

63 MACIEJ PIECZYŃSKI POWRÓT „KŁAMSTWA KATYŃSKIEGO”

Odpowiedzialność Stalina za mord na polskich oficerach jest dziś w Rosji albo rozmywana, albo negowana. A przecież „kłamstwo katyńskie” jest dla prawdy o drugiej wojnie światowej nie mniej groźne niż „kłamstwo oświęcimskie”.

Negowanie Holokaustu jest karane w większości krajów europejskich oraz w Izraelu. Akty normatywne zamiast słowem „Holokaust” czy „zbrodnie III Rzeszy” posługują się często ogólnym terminem „zbrodni ludobójstwa”, „zbrodni przeciwko ludzkości”, czasem z odniesieniem do zbrodni określonych przez trybunał norymberski. Takimi krajami są Francja, Liechtenstein, Szwajcaria czy Portugalia. Szczegółowe odwołanie do Holokaustu znajdziemy natomiast w kodeksach karnych Izraela, Włoch, Belgii, Niemiec czy Grecji.

Sytuacja w tym ostatnim kraju jest dość wyjątkowa, ponieważ same słowa negujące Holokaust nie są tam przestępstwem. Aby w Grecji skazać negacjonistę, trzeba mu jednocześnie wykazać, że głosząc swoje poglądy, podżegał do nienawiści. Takie rozwiązanie, obarczone dodatkowo bardzo poważnymi zarzutami wobec tego artykułu kodeksu karnego o naruszanie konstytucyjnej wolności słowa, doprowadziło do sytuacji, w której skazanie kogokolwiek za negowanie Holokaustu w Grecji stało się bardzo trudne.

Istnieje grupa państw, które ograniczają się do karania jedynie za negowanie zbrodni nazistowskich, oraz takie, które do tego katalogu włączają również zbrodnie komunistyczne. Nietrudno zgadnąć, że w tej drugiej grupie znajdują się kraje mające własne, ponure doświadczenia z komunizmem: Litwa, Polska, Czechy, Słowacja i Węgry. Rozwiązanie to zostało bardzo mocno zaatakowane przez część środowisk żydowskich reprezentowanych przez Dovida Katza, mieszkającego w Wilnie historyka amerykańskiego pochodzenia. Katz nawołuje do zwalczania koncepcji „podwójnego ludobójstwa” – niemieckiego i sowieckiego – twierdząc, że takie zestawienie pomniejsza cierpienie Żydów w czasie drugiej wojny światowej.

W Rosji prawo karzące negowanie Holokaustu używane jest do walki z wypowiedziami, które z nazizmem ani Holokaustem nie mają nic wspólnego. Artykuł 3541 rosyjskiego kodeksu karnego przewiduje karę grzywny, prac przymusowych lub pozbawienia wolności za „publiczne zaprzeczenie faktom stwierdzonym w wyrokach Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze, pochwalanie tych przestępstw, a na rów-

ni z tym »rozpowszechnianie świadomie nieprawdziwych informacji o działaniach ZSRS podczas drugiej wojny światowej«”. Na podstawie tego przepisu można stanąć przed sądem przykładowo za stwierdzenie, że Polska została zaatakowana przez ZSRS wspólnie z III Rzeszą. Spotkało to Władimira Łuzgina, ślusarza z Permu, który zamieścił post o tej treści na portalu społecznościowym. Łuzgin został skazany na grzywnę 200 tys. rubli, czyli ponad 3 tys. dol.

dokumentem małżeństwo. O przyczynach amerykańskiej odmienności będzie mowa niżej.

BEZWZGLĘDNIEM ZA ODRĄ

W Niemczech ustawodawstwo przeciwko „kłamstwu oświęcimskiemu” ma bardzo długą tradycję, choć do 1994 r. w tamtejszym kodeksie karnym w kontekście zbrodni z nienawiści nie mówiono konkretnie o Holokauście. Piewców narodowego socjalizmu

Zbrodnia, kłamstwo i kara

Jakub Ostromięcki

„Kłamstwo oświęcimskie” to termin ogólny, bardzo chwytliwy, ale nie dotyczy on jedynie negowania faktu mordowania ludzi w Auschwitz, lecz w ogóle zaprzeczania zbrodniom III Rzeszy. Od zbrodni przeciw pokojowi do masowych egzekucji i komór gazowych

W większości wymienionych krajów kary za negowanie Holokaustu wahają się od miesiąca do pięciu lat. Wyjątkiem są Włochy, gdzie za to przestępstwo grozi do sześciu lat pozbawienia wolności, i absolutny rekordzista, czyli Austria, gdzie za negowanie Holokaustu w połączeniu z próbą przywrócenia systemu narodowosocjalistycznego można iść do więzienia na lat 20.

W większości krajów europejskich sądy, rozpatrując sprawy związane z negowaniem Holokaustu, nie muszą, tak jak w USA, na żądanie jednej ze stron, wydawać specjalnych postanowień uznających Holokaust za dowód sądowy, czyli mówiąc wprost – stwierdzać, że miał on miejsce. Holokaust uznaje się przed sądami europejskimi za fakt taki sam jak czyjeś narodziny czy potwierdzone

skazywano więc na podstawie artykułów o obrazie pamięci o zmarłych i zamordowanych tudzież podżeganiu do nienawiści wobec grup i kategorii społecznych – tzw. części składowych społeczeństwa. Szczegółowe odwołanie do Holokaustu znalazło się dopiero w nowelizacji kodeksu karnego z 1994 r. CDU i CSU próbowały doprowadzić do równego karania sprawców i piewców ludobójstwa innego niż nazistowskie. Motywacją niemieckiej prawicy nie była jednak w pierwszej kolejności troska o ofiary komunizmu w ogóle, ale pamięć o niemieckich wypędzonych. Projekt ten przepadł jednak głosami zarówno liberałów, jak i lewicy.

Niemieckie prawo bierze na cel nie tylko wypowiedzi, lecz także symbolikę. Insygnia III Rzeszy, podobnie jak



Brama wjazdowa do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau

FOT. PERSONA77/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

np. państwa islamskiego, są w Niemczech zakazane. W Unii Europejskiej podejście najbardziej podobne do niemieckiego w kwestii symboliki prezentuje Rumunia.

W latach 1995–2008 w stan oskarżenia w związku z „kłamstwem oświęcimskim” i przestępstwami pokrewnymi postawiono w Niemczech 410 osób, z czego skazano 315. Trend ten na przestrzeni całego okresu wykazuje tendencję lekko wzrostową.

W Niemczech negując Holokaust czy wychwalając nazizm, nie można usprawiedliwiać się wolnością słowa. Może jednak do owej wartości odwoływać

się ktoś, kto publicznie atakuje osoby, które w przeszłości w jakiś sposób były powiązane z dawnym reżimem nazistowskim. W 1958 r. Erich Lüth, urzędnik hamburskiego ratusza, rozpoczął kampanię przeciwko promocji nowego filmu „Unsterbliche Geliebte” (w wolnym tłumaczeniu: „Nieśmiertelni kochankowie”).

Film był romansem opartym na XIX-wiecznej powieści i nie miał nic wspólnego nie tylko z nazizmem, lecz także z polityką w ogóle. Problem w tym, że jego reżyserem był Veit Harlan – przedwojenny propagandzista i twórca słynnej, obrzydliwej produkcji „Żyd Süß”.

Producenci „Unsterbliche Geliebte” pozwali Lütha o narażenie ich przedsięwzięcia na straty i oszczerstwa. Niemiecki sąd stwierdził jednak, że o ile pozwany urzędnik mógł faktycznie działać na szkodę autorów filmu, o tyle jednak przemawiał za nim ważny interes społeczny i troska o reputację Niemiec na świecie. Nikt nie chciał przecież usłyszeć, że 12 lat po wojnie w Niemczech znów odradza się nazizm, tym razem ukryty pod postacią miłosnych historyjek.

W krótkiej historii RFN wielokrotnie zdarzało się, że politycy lewicy nazywali bawarską partię CSU „nazistami”. Sądy broniły wtedy lewicowców, wskazując, że nie przekraczali oni wolności słowa, gdyż nie odnosili swoich tez do konkretnych osób. Podobnie zakończyła się sprawa pewnego nauczyciela, który w 1991 r. na swoim samochodzie umieścił naklejkę z napisem „Wszyscy żołnierze to mordercy”. Oskarżono go, że swoją wypowiedzią podżega do nienawiści wobec grupy społecznej – w tym przypadku żołnierzy Bundeswehry. Sąd uniewinnił jednak nauczyciela, ponieważ – jak wskazano w orzeczeniu – nie miał on na myśli konkretnych żołnierzy znanych z imienia i nazwiska i w rozsądnych granicach korzystał z wolności słowa.

W Niemczech, negując Holokaust, nie można również zastrzekać się swobodą badań naukowych. W publikacjach rewizjonistów znajdują się częste odwołania do prac amerykańskich „specjalistów od badania egzekucji” lub chemików, których ustalenia mają przeczyć istnieniu komór gazowych. Sądy nie uznają jednak tego za okoliczność łagodzącą.

PAŁKARZE I BRUNATNA PALESTRA

Wśród kilkuset spraw o „kłamstwo oświęcimskie” po roku 1994 znajduje się kilka ciekawych przypadków. W 2007 r. przed oblicze sądu w heskim Friedbergu trafił aktywista NPD Marcell Wöll. Wcześniej miał już wyroki za naruszenia nietykalności cielesnej, ale teraz sprawa dotyczyła jego wystąpienia na jednym z wieców, w którym stwierdził, że młodzież niemiecka „poddawana jest praniu mózgu w związku z tzw. terrorem nazistowskim”. Zapytany w radiu, czy twierdzi, że Holokaustu nie było, odparł, iż nie może odpowiedzieć na to pytanie, gdyż mogłoby to mieć dla niego „skutki prawne”. Ogłębność wypowiedzi oraz późniejszy unik w czasie wywiadu

nie uratowały Wölla. Dwa lata później działacz został prawomocnie skazany na cztery miesiące więzienia.

Przed obliczem niemieckich sądów stawali też wychwalający narodowy socjalizm... czynni adwokaci. Wielu z nich działało tak, jakby ich głównym celem nie była obrona swoich klientów – bardzo często oskarżonych o kłamstwo oświęcimskie – ale promocja własnych rewizjonistycznych poglądów. Jednym z pierwszych skazanych był adwokat z Mannheim Ludwig Bock. Na sali sądowej żądał powołania Helmuta Kohla na świadka. Bock oczekiwał od niego przyznania, że doraźny interes polityczny spowodował „ukrycie prawdy na temat Holocaustu”. Protestował też przeciw obarczaniu Niemców wyłączną winą za zbrodnie drugiej wojny światowej. Do skazania Bocka wystarczyło, że trywializował on zbrodnie III Rzeszy.

Inny adwokat, Jürgen Rieger, głosząc podobne tezy, był bliski uniewinnienia. Sąd pierwszej instancji stwierdził bowiem, że o ile rewizjonizm i umniejszanie zbrodni nazistowskich w mowach Riegera nie podlegają dyskusji, o tyle tak długo, jak są one elementem strategii obrony jego klienta, tak długo sąd nie może skazać adwokata. Sąd drugiej instancji nie był jednak tak wyrozumiały. Rieger, podobnie jak Bock, nie był wcześniej karany, obaj więc zostali skazani na karę grzywny.

Najbarwniejszą postacią wśród niemieckiej rewizjonistycznej palestry jest Sylvia Stolz. Miała ona w zwyczaju podpisywać oficjalne pisma zwrotem „Heil Hitler”. W czasie jednej z rozpraw sędzia, mając dosyć jej tyrad, w których wychwalała III Rzeszę, wyłączył jej mikrofon. Stolz nie dawała jednak za wygraną, próbując przekrzyczeć resztę uczestników rozprawy. Broniąc swoich klientów, też rewizjonistów, twierdziła, że Holocaust to wymysł Żydów oraz że prawodawstwo RFN jest nielegalne, gdyż zostało stworzone pod wpływem sił okupacyjnych, a Niemców powinno wciąż obowiązywać ustawodawstwo III Rzeszy. Stolz była wielokrotnie skazywana za swoje wypowiedzi. Dostała również zakaz wykonywania zawodu prawnika.

FRANCJA

Francja karze negowanie Holocaustu od 1990 r. Wcześniej negacjoniści mogli być pociągnięci jedynie do odpowiedzialności cywilnej. Tak stało się z Robertem



Rok 1945. Generałowie Eisenhower, Bradley i Patton przeprowadzają inspekcję stosu kremacyjnego w obozie koncentracyjnym Ohrdruf. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Faurissonem, profesorem z uniwersytetu w Lyonie. W 1983 r. musiał on zapłacić odszkodowanie powodom, którzy poczuli się dotknięci jego tezami. Kwota ta, poza kosztami sądowymi, wynosiła... symbolicznego franka.

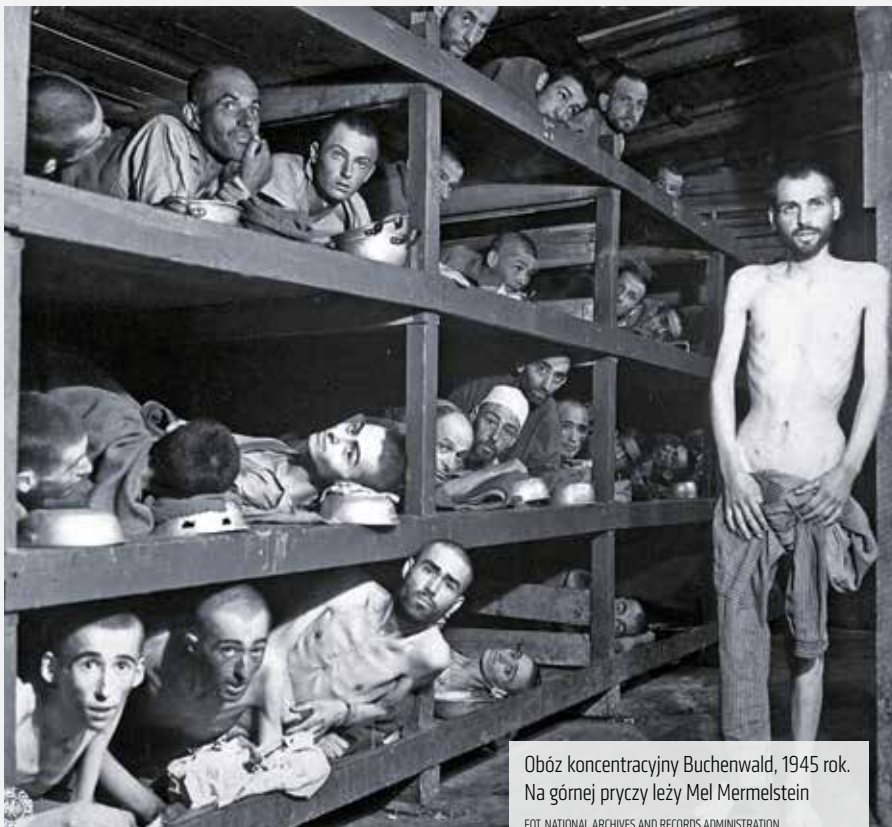
Francuscy negacjoniści mieli też przed 1990 r. dużo większe pole do popisu niż ich niemieccy koledzy – artykuły rewizjonistyczne w latach 70. można było znaleźć między innymi w dzienniku „Le Monde”. Sytuacja ta zaczęła zmieniać się w latach 80., gdy Jan Marie Le Pen po raz pierwszy dostał się do Zgromadzenia Narodowego. Lider Frontu Narodowego ogłosił wówczas: „Nie powiedziałem, że komory gazowe nie istniały. Nie widziałem ich na własne oczy. Nie zajmowała mnie zbytnio ta kwestia. Sadzę jednak, iż był to nieistotny epizod w historii drugiej wojny światowej”.

W 1990 r. grupa neonazistów zdestawowała żydowski cmentarz w prowansalskim Carpentras. Stało się to przyczyną uchwalenia tzw. ustawy Gaysso. Prawo to odnosi się do negowania zbrodni ludobójstwa uznanych przez

Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze. Jednym z pierwszych skazanych na podstawie tej ustawy był wspomniany już Robert Faurisson, który w kolejnym wywiadzie nazwał komory gazowe „bajeczką” rozpropagowaną przez zwycięzców w czasie procesów norymberskich. Swoje rewelacje powtórzył potem w irańskiej telewizji. Profesor został skazany na grzywnę. Usunięto go też z pracy na uniwersytecie.

Specyfiką Francji są silne powiązania negacjonistów ze światem arabskim czy szerzej – muzułmańskim. Jedną z bardziej znanych osób skazanych na podstawie ustawy był Roger Garaudy, niegdyś główny teoretyk francuskiego komunizmu, potem katolik, a na końcu, po ślubie z Palestynką, muzułmański konwertyta i zajadły antysyjonista. Według niego Holocaust to mit, który ma usprawiedliwić zbrodnicze postępowanie Izraela wobec Palestyńczyków. Garaudy został skazany na sześć miesięcy w zawieszeniu i 50 tys. franków grzywny.

We Francji próbowano rozciągnąć rzezoną ustawę również na ludobójstwo



Obóz koncentracyjny Buchenwald, 1945 rok.
Na górnej pryczy leży Mel Mermelstein

FOT. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Ormian. Amerykański historyk Bernard Lewis w jednym z wywiadów zaprzeczył, że rzezie Ormian były ludobójstwem. Francuski sąd orzekł, że Lewis nie może być ścigany na podstawie ustawy Gayssota, gdyż ta dotyczy jedynie ludobójstwa uznanego przez trybunał norymberski. Francuscy Ormianie pozwali jednak historyka i w procesie zasądono na ich rzecz symboliczne odszkodowanie.

W latach 1992–2000 we Francji wydano 29 skazujących wyroków w związku ze złamaniem ustawy Gayssota. Francuskie sądy w orzecznictwie i wykładni interpretują ustawę bardzo szeroko. Według tamtejszego Sądu Kasacyjnego do złamania ustawy wystarczy, by ktoś ledwie wyraził wątpliwości lub zaprzeczył zbrodniom przeciw ludzkości za pomocą insynuacji lub pod pretekstem ustalenia domniemanej prawdy historycznej. Wątpliwości w tej kwestii głosili nawet badacze rewizjonizmu pochodzenia żydowskiego, tacy jak Robert A. Kahn, który stwierdził, że ustawa Gayssota „została rozciągnięta na zachowania tylko w małym stopniu odnoszące się do Holocaustu” i jej istnienie „stawia bardzo ważne pytania na temat wolności słowa”.

Francuscy historycy, w przeciwieństwie do niemieckich, w ogóle są bardzo niechętnie nastawieni do ustaw regulujących pamięć historyczną. „Samozwańcy

rewizjoniści nie powinni być brani zbyt poważnie. Lepiej przyzwyczaić się do istnienia tej sekty” – stwierdził Pierre Vidal-Naquet, znany francuski historyk dziejów starożytnej Grecji. Inni wskazywali na to, że ustawa Gayssota miała wręcz odwrotny skutek – im bardziej nagałniano procesy przeciw rewizjonistom, tym większą popularność oni zdobywali.

Jedną z francuskich ustaw historycznych jest „loi Taubira”. Ustawa ta uznaje niewolnictwo i nowożytny handel niewolnikami za zbrodnię przeciwko ludzkości. W 2004 r. historyk Olivier Grenouilleau stwierdził jednak, że przy całym swym barbarzyństwie niewolnictwo nie może być uznawane za zbrodnię przeciw ludzkości, gdyż właścicielom niewolników zależało na tym, aby ci przeżyli. Stowarzyszenie Francuzów z Antyli, Gujany i Reunionu złożyło zawiadomienie o złamaniu ustawy Gayssota w związku z negocjowaniem zbrodni przeciw ludzkości. Sprawa ta została umorzona między innymi w wyniku protestów francuskich historyków, którzy stanęli w obronie wolności słowa.

AMERYKAŃSKI SPOSÓB

„Nie ma czegoś takiego jak fałszywa idea” – stwierdził Sąd Najwyższy USA w 1974 r. „Jakkolwiek szkodliwa dana

opinia by się wydawała, jej korekta nie powinna należeć do sądów i sędziów, ale do innych idei, które są z nią w stanie konkurować”. USA twardo trzymają się pierwszej poprawki do konstytucji, która zdefiniowała w USA wolność słowa. Prawo do „opowiadania bzdur” jest tam uznawane za prawo człowieka. Można zatem w USA kłamać na temat swoich sukcesów wojennych i przypisywać sobie udział w heroicznych akcjach, w których w rzeczywistości nigdy się nie uczestniczyło, lub też chwalić się posiadaniem medalu, którego w rzeczywistości się nie ma. Tym samym wolno też w USA mówić na temat Holocaustu, co się komu podoba.

Jedynym sposobem na prawne zwycięstwo nad negacjonistą jest więc pozew cywilny. Najstłyniejsza batalia prawna związana z negowaniem Holocaustu w USA to tzw. sprawa Mermelsteina. W 1978 r. rewizjonistyczna organizacja IHR (Institute for Historical Review) szukając rozgłosu, zaczęła wysyłać listy do ocalałych z Holocaustu, w których obiecywała 50 tys. dol. każdemu, kto będzie w stanie udowodnić, że w Auschwitz istniały komory gazowe. Mel Mermelstein, ocalały z Auschwitz, wysłał zatem odpowiedź, w której udowodnił, że istnienie komór to fakt. Następnie zażądał nagrody. IHR zamilkło, więc Mermelstein pozwał stowarzyszenie, zarzucając mu złamanie postanowień umowy cywilnoprawnej, a także spowodowanie uszczerbku na zdrowiu psychicznym i uraz spowodowany zaprzeczaniem ustalonym faktem.

Adwokat Mermelsteina poprosił o włączenie ustaleń historyków na temat Holocaustu jako dowodu sądowego. Wniosek miał 300 stron i składał się głównie z cytatów z prac naukowych. Sąd przychylił się do tego wniosku. Sprawa ciągnęła się jeszcze kilka lat i ostatecznie zakończyła się zwycięstwem Mermelsteina, któremu IHR musiała wypłacić zaległą nagrodę oraz dodatkowo 40 tys. dol. zadośćuczynienia. Mermelstein ogłosił swoje zwycięstwo i publicznie stwierdził, że IHR podważyło istnienie Holocaustu. Stowarzyszenie odpowiedziało wówczas pozewem o zniesławienie. Sędzia oddalił go jednak, nazywając powodów „płaskoziemcami”. W Ameryce uznają najwyraźniej, że jest to lepszy sposób na zwalczanie negacjonizmu niż kary więzienia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADOLBE STOCK

Prawny bat na fałszerzy

Piotr Włoczyk

Polska penalizuje „kłamstwo oświęcimskie” podobnie jak inne kraje Europy Środkowej, zakazując negowania zbrodni niemieckich na równi z kłamaniem na temat mordów komunistycznych. Zupełnie inaczej podchodzi do tego Zachód

W 1973 r. w Republice Federalnej Niemiec ukazała się broszura „Die Auschwitz-Lüge” („Kłamstwo oświęcimskie”). Autorem tej publikacji był Thies Christophersen, urodzony w 1918 r. był esesman, który w trakcie wojny był strażnikiem w Auschwitz w stopniu Sonderführera (dowódca specjalny). Książeczka ta stała się szybko „kłasykiem” literatury neonazistowskiej. Przedstawiając własne wspomnienia z czasów drugiej wojny światowej, Christophersen twierdził, że w Auschwitz z pewnością nie istniały żadne komory gazowe, a obóz był jedynie wielkim zakładem przemysłowym.

Przez kolejne dekady negacjoniści na całym świecie powoływali się na „Die Auschwitz-Lüge”, kontestując powszechnie przyjęte za pewnik ustalenia historyków – KL Auschwitz był niemieckim obozem zagłady,



Budynek krematorium w obozie
KL Stutthof FOT. POLIMEREK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

■ w którym zamordowano ok. 1,1 mln osób. W ten oto sposób za sprawą Christophersena (choć bez wątplenia wbrew jego intencjom) do obiegu publicznego weszło sformułowanie „kłamstwo oświęcimskie” określające działania mające na celu wykoślawienie prawdy na temat zagłady Żydów.

„Od końca lat 80. negacyjniści ludobójstwa powołują się na bardziej »obiektywne« dowody, tj. wyniki

że w pomieszczeniach tych zabijano ludzi. Co więcej – analizy te mają być oczywistym dowodem, że nikogo w nich gazem nie zabito”.

Wobec nasilających się tendencji negacjonistycznych ustawodawcy – przede wszystkim w Europie – stanęli wobec dylematu, jak zareagować wobec kłamstw na temat zbrodni III Rzeszy, nie krępując równocześnie zbyt mocno swobody wypowiedzi i badań naukowych. Czy ówczesne przepisy prawne mogły być wykorzystywane również do zwalczania jawnych kłamstw na temat masowych mordów przeprowadzanych przez Niemców? Czy jednak potrzebne są do tego zupełnie nowe mechanizmy?

IPN PRZECIW KŁAMSTWU

W czasach PRL w Kodeksie karnym (z 1969 r.) istniał zapis zabraniający gloryfikacji ideologii hitlerowskiej. Artykuł 270 kk stanowił, że „kto publicznie pochwała faszyzm lub jakąkolwiek jego odmianę”, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu. Po upadku komunizmu w nowym Kodeksie karnym z 1997 r. znalazł się przepis (art. 256), który penalizował dodatkowo zachowania, które w epoce PRL siłą rzeczy nie mogły być karane:

„Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Dzięki temu rozwiązaniu możliwe stało się, siedem lat po upadku PRL ściganie osób, które wychwalały system komunistyczny.

Polski ustawodawca uznał jednak, że należy wprowadzić do polskiego porządku prawnego przepis, który wprost zabraniały nie tylko przedstawiania totalitarnych ideologii w pozytywny sposób, lecz także wprost penalizowałby zakłamywanie masowych zbrodni.

W ten sposób półtora roku po wprowadzeniu nowego, niekomunistycznego Kodeksu karnego Sejm uchwalił ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej, w której znalazł się art. 55: „Kto publicznie i wbrew faktom zaprzecza zbrodniom, o których mowa w art. 1 pkt 1, podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat 3. Wyrok podawany jest do publicznej wiadomości”.

W artykule 1 pkt 1 mowa jest tymczasem o zbrodniach nazistowskich, komunistycznych, zbrodniach członków

Za sprawą Christophersena do obiegu publicznego weszło sformułowanie „kłamstwo oświęcimskie”

badań chemicznych tynku zebranego ze ścian komór gazowych. Ekipy pseudoekspertów, udając turystów, po kryjomu wykuwali ze ścian komór gazowych kawałki tynku, by później poddać je analizie chemicznej na obecność związków cyklonu B – tłumaczą eksperci z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. – Związków tych oczywiście zawsze jest za mało, by można było uznać,

ukraińskich formacji kolaborujących z III Rzeszą Niemiecką oraz innych przestępstwach stanowiących zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne.

Ustawa o IPN penalizuje negowanie zbrodni, do których doszło między 1 września 1939 r. a 31 lipca 1990 r. (dzień, w którym zlikwidowano Służbę Bezpieczeństwa MSW i powołano na jej miejsce Urząd Ochrony Państwa). Przesłanką konieczną do skazania jest publiczny charakter wypowiedzi – zaprzeczanie Holokaustowi w prywatnych rozmowach w niewielkiej grupie osób nie jest karane. W przypadku wyroku skazującego istnieje obowiązek podania go do publicznej wiadomości.

Eksperti zwracają jednak uwagę, że o ile ustawa precyzuje termin „zbrodnie komunistyczne”, o tyle „zbrodnie nazistowskie” nie zostały uszczegółowione. W tym pierwszym przypadku chodzi o „czyny popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego w okresie od dnia 17 września 1939 r. od dnia 31 lipca 1990 r., polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszania praw człowieka wobec jednostek lub grup ludności bądź w związku z ich stosowaniem, stanowiące przestępstwa według polskiej ustawy karnej obowiązującej w czasie ich popełnienia [...]”.

Jak wygląda w tym kontekście kwestia zabezpieczenia wolności nauki? Jak zwraca uwagę dr Tymoteusz Zych w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność za jej negowanie lub zniekształcanie”: „W odniesieniu do strony podmiotowej przestępstwa wskazuje się na znamię umyślności cechujące analizowany czyn. W doktrynie zwraca się uwagę, że może on zostać popełniony wyłącznie w zamiarze bezpośrednim. Należy więc wnioskować, że przedmiotem penalizacji jest wyłącznie umyślne naruszenie zasad warsztatu historycznego. Znamię to nie zostanie spełnione w sytuacji, gdy celem osoby negującej faktyczny charakter zdarzeń określonych w przepisie jest »rzeczywiste poszukiwanie prawdy, a nie tylko manipulowanie faktami«”.

Co istotne, polskie przepisy nie warunkują karania negacji wzywaniem do popełnienia przestępstwa, jak ma

to miejsce w Grecji i we Włoszech. Do karania za negowanie m.in. zbrodni Holokaustu nawołuje państwa członkowskie Unia Europejska, na mocy decyzji ramowej z 28 listopada 2008 r. UE wzywa, by karane było „publiczne aprobowanie, negowanie lub rażące pomniejszanie zbrodni określonych w art. 6 Karty Międzynarodowego Trybunału Wojskowego, a skierowanych przeciwko grupie osób, którą definiuje się według rasy, koloru skóry, wyznawanej religii, pochodzenia albo przynależności narodowej lub etnicznej, lub przeciwko członkowi tej grupy, jeżeli czyny takie mogą podburzać do przemocy lub wzbudzać nienawiść skierowaną przeciwko tej grupie lub jej członkowi”.

ŚRODKOWOEUROPEJSKA SPECYFIKA

Polskie prawo penalizujące „kłamstwo oświęcimskie” podobne jest w tym zakresie do prawodawstwa m.in. Litwy, Węgier, Czech i Słowacji, gdzie zakazane jest zaprzeczanie

Polskie prawo podobne jest w tym zakresie do prawodawstwa m.in. Litwy, Węgier, Czech i Słowacji

zbrodniom nazistowskim oraz właśnie komunistycznym. Obie te kategorie występują obok siebie, co wcale nie jest oczywistością.

Zupełnie inaczej kwestia ta wygląda bowiem na zachodzie Europy, m.in. we Francji, w Niemczech, Austrii czy Belgii (ale także w Izraelu), gdzie zakazane jest kwestionowanie zbrodni nazistowskich. O masakrach dokonywanych przez komunistów prawodawstwo tych krajów milczy.

Z tym „dualistycznym” podejściem do karania za kłamstwa historyczne walczy m.in. Dovid Katz, amerykański historyk, który jest jednym z najbardziej znanych krytyków tzw. podwójnego



ludobójstwa. Jego zdaniem nie sposób bowiem zrównywać zbrodni III Rzeszy oraz Związku Sowieckiego.

– Takie stanowisko uważam za kompletne nieporozumienie – mówi „Do Rzeczy” Tadeusz Płużański, historyk specjalizujący się w tematyce zbrodni komunistycznych. – Jeżeli spojrzymy na historię, to ofiar mordów komunistycznych jest o wiele więcej niż ofiar nazizmu. Oba totalitaryzmy należy z całą stanowczością potępiać. Niestety, nawet w Polsce zbyt często pomija się ofiary komunizmu. Przykładowo w szkołach naucza się, że Polska straciła w czasie drugiej wojny światowej 6 mln obywateli – 3 mln Polaków i 3 mln Żydów z polskim obywatelstwem. Tymczasem nie mówi się tu o setkach tysięcy Polaków zamordowanych przez Sowieców i komunistów. Dlatego jest dla mnie zupełnie zrozumiałą rzeczą, że w katalogu zbrodni, którym nie można zaprzeczać, znajdują się zarówno te dokonane przez III Rzeszę, jak i Związek Sowiecki. Prawo musi dostrzegać, że masowych mordów dopuszczali się i Niemcy, i Sowieci.

Również zdaniem mecenasa Szymona Topy ze stowarzyszenia Patria Nostra, zajmującego się broniem przed sądami dobrego imienia narodu polskiego, równoległa

penalizacja zbrodni nazistowskich i komunistycznych jest rzeczą jak najbardziej naturalną.

– Wydaje się, że art. 55 ustawy o IPN nie budzi wątpliwości jako przepis penalizujący tzw. kłamstwo oświęcimskie, stanowiąc podstawę do skazania osoby, która publicznie zaprzecza zbrodni Holokaustu. Mało tego, jeśli przepis ten traktować również jako instrument polityki historycznej (polityki pamięci), to raczej słuszne jest ujęcie tej problematyki w kontekście ochrony pamięci o zbrodniach popełnionych na narodzie polskim – mówi „Do Rzeczy” mecenas Szymon Topa. – Skutki okupacji obu totalitaryzmów odczuwamy do dzisiaj, zarówno w sferze demograficznej, jak i gospodarczej. Nie jest zatem dziwne, że w polskiej wspólnotowej pamięci, chronionej właśnie przez przepis art. 55 ustawy o IPN, zbrodnie popełnione na rozkaz Hitlera czy Stalina są w sensie normatywnym i aksjologicznym ujęte w tym samym przepisie. Nie można pominąć, że wobec agresywnej polityki historycznej rosyjskiego przywódcy potrzeba ochrony pamięci o ofiarach komunistycznej okupacji staje się szczególnie ważna.

Jak jednak zauważa mecenas Topa, art. 55 ustawy o IPN nie chroni Polski przed rozpowszechnianiem w mediach określeń typu „polski obóz zagłady”. – Jak pokazują praktyka orzecznicza, a także wypowiedzi niektórych przedstawicieli doktryny prawa karnego, kwestionuje się możliwość skazania na podstawie tego przepisu dziennikarza posługującego się tego rodzaju wadliwymi kodami pamięci. Niejednokrotnie jest to wyraz braku przekonania o praktycznych możliwościach ścigania karnego dziennikarza, a w innych – naiwnego przekonania o braku wpływu tego rodzaju wypowiedzi na świadomość historyczną zagranicznej opinii publicznej – mówi mecenas Topa. – Zasadny zatem wydaje się powrót do prac nad opracowaniem jednoznacznych przepisów, które mogłyby dać polskiemu organom ścigania narzędzie do pociągania do odpowiedzialności osób, które zniekształcają pamięć o sprawcach zbrodni popełnionych na byłych więźniach obozów zagłady. Co istotne, można spróbować powiązać

z penalizacją zaprzeczenia Holokaustu jako szczególnej kategorii, zaprzeczenie zbrodniom niemieckiego nazizmu, aby w ten sposób uzyskać akceptację środowisk żydowskich, oczekujących tego od Polski.

Mecenas Lech Obara ze stowarzyszenia Patria Nostra podkreśla, że w zwalczaniu kłamstw historycznych pomocne może być również prawo cywilne.

Od połowy lat 80. nieustannie zwiększa się liczba krajów, które zdecydowały się na penalizowanie „kłamstwa oświęcimskiego”

– W przypadku ludzi, którzy kłamią na temat naszej historii w sposób perfidny, szczególnie w kontekście drugiej wojny światowej, próbując przypisać Polakom zbrodnie popełnione przez innych, jestem w stanie wyobrazić sobie karanie takich czynów nawet więzieniem. Musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak wygląda praktyka w takich przypadkach. Najczęściej kłamstwa godzące w polską pamięć historyczną formułowane są poza granicami naszego kraju. Oznacza to, że musielibyśmy postawić przed polskim sądem obywatela innego państwa, który najpewniej nie będzie miał ochoty pojawić się w tym celu w Polsce. Tymczasem prawo, aby było szanowane, musi być skuteczne. Dlatego uważam, że prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne. Głośne przeprosiny lub zasądzenie wysokiego zadośćuczynienia mogą równie dobrze odstraszać w przyszłości potencjalnych kłamców jak groźba więzienia – powiedział „Do Rzeczy” mecenas Obara.

Doktor Tymoteusz Zych z Instytutu Ordo Iuris pisze w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność za jej negowanie lub zniekształcanie”, że od połowy lat 80. nieustannie zwiększa się liczba krajów, które zdecydowały się na penalizowanie „kłamstwa oświęcimskiego”.

„Dla tej dynamiki znamienne jest przebieg debaty publicznej w Polsce, która długo koncentrowała się na dyskusji dotyczącej zgodności z konstytucyjnymi gwarancjami wolności wypowiedzi zakazu kwestionowania zbrodni niemieckich zawartego w art. 55 IPN – pisze dr Tymoteusz Zych. – Z czasem jednak ten wątek stracił na znaczeniu, a pod wpływem rozpowszechniania frazy »polskie obozy śmierci« dyskusja koncentrowała się na możliwości poszerzenia sankcji karnej, skutkując przyjęciem obowiązujących przez 137 dni przepisów o szerokim zakresie dyspozycji penalizujących dyfamację narodu polskiego i państwa polskiego poprzez przypisywanie im wbrew faktom odpowiedzialności za zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie wojenne oraz zbrodnie przeciwko ludzkości”.

Jak jednak pokazało bardzo krytyczne przyjęcie przez opinię międzynarodową nowelizacji polskiej ustawy o IPN w 2018 r., tak znaczące poszerzenie sankcji karnej penalizującej znieważanie narodu polskiego wymaga również skutecznej osłony dyplomacji.

– Od początku przekonywałem, że nie powinniśmy ustępować w tej kwestii. Uleganie presji zagranicy to preludium do dalszego zniekształcania naszej historii. Nie brak bowiem za granicą potężnych sił, które dążą do przekonania świata, że druga wojna światowa wybuchła przez awanturnictwo Polaków, którzy chcieli budować obozy zagłady. Musimy za wszelką cenę bronić się przed tym kłamstwem – mówi Tadeusz Płużański. – Ja patrzę szeroko na termin „kłamstwo oświęcimskie”. Dla mnie to nie tylko samo zaprzeczanie Holokaustowi, lecz także wmawianie nam, że niemieckie obozy koncentracyjne były „polskie”. Każdy chyba w Polsce widzi, że w naszym kraju negowanie faktu, którym był Holokaust, jest zjawiskiem kompletnie marginalnym. Większym problemem jest tak często powtarzana fraza „polskie obozy”. Musimy zrobić wszystko, by to oszczerce sformułowanie było jak najbardziej powszechnie uznawane na świecie za część „kłamstwa oświęcimskiego”.

Z wiceministrem sprawiedliwości Marcinem Romanowskim

rozmawia Jacek Przybylski

JACEK PRZYBYLSKI: Polak nie może przed polskimi sądami dochodzić odszkodowań za sformułowania o „polskich obozach” w niemieckich mediach, o ile nie został indywidualnie wskazany w ich publikacjach – orzekł w czerwcu tego roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Taki wyrok zdaje się zamykać Polakom drogę do sądu w sprawach, w których są obrażani. Czy to oznacza, że można bezkarnie szkalować dobre imię narodu polskiego, bo polski patriota nie może już powoływać się na naruszenie swych dóbr osobistych prosto z racji bycia Polakiem i dochodzić swoich racji przed polskim sądem?

MARCIN ROMANOWSKI: Nie jest dla mnie nowością, że TSUE broni interesów Niemiec, a organy Unii Europejskiej chcą rozstrzygnąć o tym, kto i co ma robić w Polsce – jak mają działać sądy, kto ma jakie kompetencje i kiedy. W swojej złej woli pomijają w tym zakresie polską konstytucję i polskie ustawy, stawiając się – bez żadnych podstaw – ponad tym prawem.

Według tego wyroku Niemcy staną się sędziami we własnej sprawie, co jest przecież kuriozalne. Niemieckie sądy będą rozstrzygać, czy obozy były polskie czy niemieckie i jak mogą to określać media. To absurd, ale też ogromne niebezpieczeństwo, bo wyrok ten wzmacnia możliwość prowadzenia kłamliwej narracji o historii i zakłamywania tej historii.

Trybunał pokazał też w tym przypadku, jak zmienna jest jego narracja w zależności od tego, czyjego interesu sprawa dotyczy. W 2011 r. uznał, że w podobnych sprawach można dochodzić ochrony dóbr osobistych przed polskimi sądami. Wtedy chodziło jednak o Brytyjczyków i Francuzów. Teraz, kiedy sprawa dotyczy sporu polskiego obywatela z niemieckim medium, staje po stronie Niemiec, bo w tle jest cała polityka historyczna Niemiec mająca wybielić ich nazistowską historię.

Sędziowie TSUE wydali ten kontrowersyjny wyrok, odpowiadając na pytanie prejudycjalne Sądu Apelacyjnego w Warszawie dotyczącego sporu między Stanisławem Zalewskim, byłym więźniem Auschwitz i prezesem Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych (PZBWOK), oraz niemieckim wydawcą portalu Mittelbayerische.de z Ratyzbony, który w roku 2017 pisał o „polskim obozie zagłady Treblinka”.

W tym właśnie tkwi cała perfidia tego wyroku. Według unijnego prawa w sprawie jurysdykcji i uznawania orzeczeń sądowych oraz ich wykonywania w sprawach cywilnych i handlowych osoba, która uważa się za poszkodowaną, może wytoczyć powództwo na terenie państwa, w którym znajduje się centrum jej interesów życiowych, czyli głównie miejsce zamieszkania.

Jednak w przypadku sprawy pana Zalewskiego sędziowie TSUE uznali, że jego osoba nie została w żaden sposób wskazana w opublikowanym artykule – ani bezpośrednio, ani pośrednio.

osobą i wygasają w momencie jej śmierci. Wystarczy więc odpowiednio długo prowadzić postępowanie, zwłaszcza że osoby, które uczestniczyły w tamtych tragicznych wydarzeniach, są już bardzo wiekowe.

Inny niemiecki wydawca – niemiecka telewizja ZDF – dopiero w 2019 r., po długiej sądowej batalii, wycofał skargę kasacyjną od wyroku polskiego sądu, który nakazał mu przeprosić byłego więźnia Auschwitz Karola Tenderę za zastosowanie w swoim materiale określenia „polskie obozy zagłady”. W tej sprawie Ministerstwo Sprawiedliwości zwróciło się w tym roku do ministra Konrada

Mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych” to „kłamstwo oświęcimskie”

To – zdaniem TSUE – zmienia postać rzeczy, bo brak tu szczególnie ścisłego związku pomiędzy sądem, w którego obszarze właściwości znajduje się centrum interesów życiowych osoby powołującej się na naruszenie jej dóbr osobistych, a przedmiotowym sporem. I w związku z tym polski sąd nie może rozpoznawać tego sporu.

A więc pozostają sądy niemieckie. I to te sądy będą nie tylko orzekały w takich sprawach, lecz także na przykład wyznaczały kolejne terminy. Pamiętajmy tutaj, że dobra osobiste, w tym prawa do wizerunku czy dobrego imienia, są immanentnie związane z konkretną

Szymańskiego z wnioskiem o skierowanie sprawy pana Karola Tenderę w trybie art. 259 TFUE do Komisji Europejskiej. Pan Tendera nie doczekał sprawiedliwości. Niemiecka telewizja ZDF nie wykonała bowiem wyroku, mimo że Sąd Apelacyjny w Krakowie prawomocnie uznał, że sformułowanie „polskie obozy” jest nie tylko historycznym kłamstwem, lecz także naruszeniem indywidualnych dóbr Karola Tenderę.

Wyrok czerwcowy w sprawie pana Stanisława Zalewskiego należy – moim zdaniem – rozpatrywać także w kontekście sprawy pana Karola Tenderę. Nie bez przyczyny wspominałem właśnie o możliwościach proceduralnych, które mają sądy i których mogą użyć w chwili, gdy

postępowania miałyby być prowadzone właśnie przed nimi. Śmierć pana Tendersy skutkowałą bowiem umorzeniem postępowania.

Przypomnijmy też samą treść wyroku Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, który uznał, że wyrok nie może być wykonany w Niemczech z uwagi na to, że jest tam konstytucyjnie chroniona wolność słowa, a to wyklucza nakazanie konkretnej treści przeprosin. Czyli znów wykorzystywanie kruczków i szukanie za wszelką cenę pretekstów, by nie przyznać się do tego, że na terenie Polski działały niemieckie obozy koncentracyjne i że to Niemcy odpowiadają za te zbrodnie.

Podobnych „błędów” w zagranicznych mediach jest niestety wciąż bardzo dużo. Zdarzył się on nawet byłemu prezydentowi USA Barackowi Obamie. Jak można z tym walczyć?

Nie ma innego sposobu, jak w każdej podobnej sytuacji reagować i podnosić alarm. W przypadku stacji ZDF dopiero sprawa sądowa i długoletnia batalia poskutkowały. Mimo butnej postawy i negowania treści wyroków i podważania ich w każdy możliwy sposób – na antenie już nie pojawiło się sformułowanie o „polskich obozach”.

Amerykański „The Wall Street Journal” wprowadził zakaz określania niemieckich obozów na terenie Polski słowami „polskie obozy”. To sformułowanie pojawia się teraz istotnie rzadziej na łamach tej gazety, chociaż co jakiś czas ma miejsce kolejny taki incydent, co zmusza polską stronę do reakcji.

Dzięki działaniom takich instytucji jak Instytut Pileckiego amerykańskiej Polonii czy fundacjom działającym w Polsce i za granicą udaje się stopniowo ograniczać powstawanie tych „błędów”. Czym innym jest jednak błąd, a czym innym celowe działanie.

W przypadku mediów anglosaskich można jeszcze próbować wierzyć w tłumaczenie, że kłamiwy i obraźliwy dla Polaków termin to wynik ignorancji piszącego lub mówiącego. Wielokrotnie tego typu określeń używali jednak niemieccy dziennikarze. Czy wierzy pan, że pisanie o „polskich obozach” to tylko przejaw ignorancji czy może jednak celowej polityki, mającej na celu fałszowanie historii i rozmywanie prawdy?

Gdybyśmy rozmawiali o tej sprawie kilkadziesiąt lat temu, może jeszcze pod koniec ubiegłego wieku – powiedziałbym, że jest w tym na pewno wiele



FOT. MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

ignorancji i niedbałości. Jednak żyjemy w czasach, kiedy informacja dociera od razu do wszystkich zainteresowanych. Nie sądzę, żeby na całym świecie znalazł się odpowiedzialny dziennikarz, który nie słyszał o polskich protestach w sprawie nazywania polskimi niemieckich obozów śmierci.

Przecież redakcje mają jakąś strukturę, ktoś decyduje o poruszanych tematach, ktoś sprawdza teksty, choćby tylko pod względem gramatycznym. Uważam zatem, że jeśli dziś ktoś pisze o polskich obozach, to nie jest to po prostu błąd, tylko celowe działanie.

Niemcy widzą to chyba zupełnie inaczej. Thomas Schmid w „Die Welt” krytykował jeszcze w 2018 r. politykę historyczną obecnego polskiego rządu, „który zabiega o utworzenie z określonej interpretacji historii państwowego kanonu i chce oficjalnie i państwowo proklamować na zawsze polski naród heroicznym narodem ofiar”. Zdaniem Schmidta państwo będące republiką nie powinno narzucać społeczeństwu wiążącej interpretacji historii, a „Polska zastępyła w ideologii martyrologicznej byłaby osobliwym członkiem Unii Europejskiej”. Może my rzeczywiście przesadzamy z tą polską martyrologią?

Spójrzmy na fakty – wywołana przez nazistowskie Niemcy i Rosję Sowiecką druga wojna światowa była najkrwawszą wojną w historii ludzkości. Według danych IPN w Polsce zginęło w tym czasie prawie 6 mln obywateli, w tym Żydów. Polska straciła najcenniejszych przedstawicieli narodu – inteligencja zginęła w obozach, została rozstrzelana w katyńskich lasach, pogrzebana w gruzach powstańczej Warszawy. A ci, którzy walczyli dalej, zostali zamordowani w bezpiecznych więzieniach.

Walczyliśmy na wszystkich frontach, przelewając krew za wolność wielu innych narodów. To wszystko są fakty, a w zasadzie tylko niewielka ich część. I kiedy mówimy o tych faktach i domagamy się uznania dla nich – niemiecki dziennikarz mówi nam, że przesadzamy i wytyka martyrologię. Polska polityka historyczna – a dodam, że przecież każde państwo ją prowadzi – opiera się na prawdzie. A ona nie leży pośrodku, tylko leży tam, gdzie ją historia umieściła. I my domagamy się tylko tego, żeby jej nigdzie nie przesuwano.

Mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych” to forma zaprzeczania zbrodniom III Rzeszy, czyli tzw. kłamstwo oświęcimskie – przekonywał

jeszcze jako prezes IPN prof. Leon Kieres. Podziela pan ten argument? Uważa pan, że przypisywanie Polakom współodpowiedzialności za Holocaust powinno być powszechnie uznawane za element „kłamstwa oświęcimskiego”?

„Kłamstwo oświęcimskie” jest twierdzeniem z zakresu prawa i dotyczy fałszowania rzeczywistości historycznej związanej z zagładą Żydów, Holocaustem. Jeśli więc ktoś mówi, że obozy, w których ginęli Żydzi, były polskimi obozami, to jest to „kłamstwo oświęcimskie”. Jeśli ktoś przypisuje Polakom współodpowiedzialność za Holocaust, to też – nawet tylko w rozumieniu prawnym – jest to „kłamstwo oświęcimskie”, bo Polacy nie byli częścią żydowskiej zagłady, a wręcz przeciwnie – mamy przecież wiele znanych przykładów heroizmu naszych rodaków, którzy stawali w obronie swoich żydowskich sąsiadów. Zresztą Polacy nieżydowskiego pochodzenia ginęli w tych samych obozach, w których ginęli Żydzi.

To, co budzi we mnie – lekko mówiąc – zdziwienie, to fakt, że polskie media liberalne tak chętnie podejmują dyskusję na temat roli Polaków w Holocaustie, tak chętnie wyszukują przypadki, w których ktoś współpracował z Niemcami, wydając im na przykład ukrywających się Żydów. Padają określenia, takie jak: „nie wszyscy pomagali”, „byli tacy, którzy zdradzali”. Umiękuje się umniejszyć w świadomości społecznej rolę i poświęcenie tych, którzy oddawali swoje życie w obronie Żydów. Tu powinien wystarczyć chociaż ten jeden argument – tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, nadawany przez instytut Yad Vashem osobom, które ratowały Żydów, otrzymało już ponad 7 tys. Polaków. To największa grupa uhonorowanych, składająca się na ponad 25 proc. wszystkich Sprawiedliwych.

Na początku XXI w. Centrum Szymona Wiesenthala zmieniło treść swojego komunikatu w sprawie Ivana Demjanjuka, zastępując określenie „polskie obozy śmierci” określeniem „nazistowskie obozy śmierci w Polsce”. Niemcy od kilku dekad prowadzą skuteczną politykę historyczną, której zadaniem jest zamazywanie odpowiedzialności za zbrodnie wojenne. Dlaczego obecnie niektórym zagranicznym dziennikarzom łatwiej jest oczerniać Polaków – czyli ofiary konfliktu – niż pisać prawdę o niemieckich oprawcach?

Odcinanie się Niemców od nazizmu rozumiem, bo przecież trudno jest zaakceptować tak trudną historyczną prawdę

człowiekowi, który jest częścią niemieckiego narodu. Łatwiej mówić o mitycznych „nazistach”, to rozmywa odpowiedzialność. I pomaga zapomnieć o tym, że ci „naziści” mówili po niemiecku.

Niemcy całe dziesięciolecia pracowali – i dalej pracują, jak wynika z naszej rozmowy – nad tym, żeby zatrzeć prawdę historyczną. Niemieckie zbrodnie przestają być niemieckie, a są nazistowskie – tę narrację chętnie podchwytują media zagraniczne, szczególnie te, które idą w głównym nurcie poprawnności politycznej i „powszechnej zgody”.

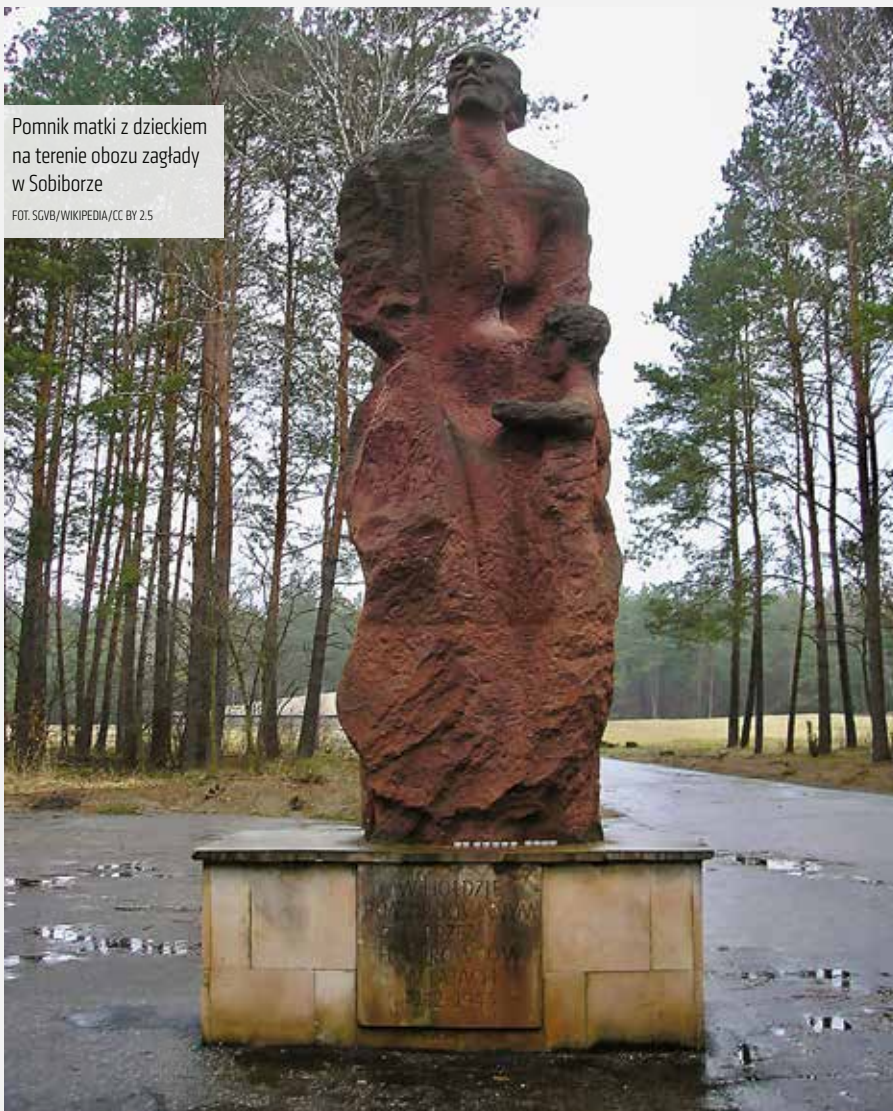
W całej Warszawie w miejscach mordu Polaków zaczęły ostatnio pojawiać się tabliczki, na których na słowo „naziści” naklejone jest słowo „Niemcy”. Nie sądzi pan, że 80 lat po wybuchu wojny trzeba coraz częściej przypominać, kim byli „naziści”, by karmione antypolską propagandą młode pokolenia na Zachodzie nie zapomniały o tym, kto był katem, a kto był ofiarą?

Niemcy przez lata wydawali ogromne sumy pieniędzy na to, żeby w przekazie, który świat dostaje na temat zbrodni niemieckich, jak najmniej pojawiało się słowo „Niemcy”, a było zastępowane przez „naziści”. W wielu grach komputerowych, które mówią o drugiej wojnie, nie pada określenie „Germans” tylko „Nazi”. Młodzież wychowana na takich grach czy filmach ma w głowie kodowaną informację, że ci „Nazi” to jakaś ponadpaństwowa i ponadnarodowa grupa, która chciała zawładnąć światem, zaczęła od Niemiec (dlatego mówi po niemiecku) i potem rozlała się po całym świecie.

Walkę o prawdę trzeba prowadzić wszędzie, gdzie to możliwe. My przecież nie chcemy, żeby współcześni Niemcy brali moralną odpowiedzialność za tamte zbrodnie, tylko żeby zaakceptowali swoją odpowiedzialność historyczną.

Skuteczności ochrony prawnej wobec „kłamstwa oświęcimskiego” wielu komentatorów przeciwstawia swobodę badań i opinii naukowych. Czy te dwie kwestie można połączyć i wyznaczyć granicę, gdzie jednak zaczyna się ostrzejsza walka z błędnymi kodami pamięci i np. kara bezwzględniego pozbawienia wolności za celowe fałszowanie historii i głoszenie jawnych kłamstw?

Ale przecież badania naukowe mają odkrywać prawdę, czyż nie tak? Mają prowadzić do poznania faktów. Z faktów wyciąga się wnioski. I tu jest oczywiście miejsce na interpretację, ale tylko w warunkach uznania faktów we wnioskowaniu. Jeśli więc ktoś podważa Holocaust,



Pomnik matki z dzieckiem na terenie obozu zagłady w Sobiborze

FOT. SCVB/WIKIPEDIA/CC BY 2.5

■ mając przed sobą określone fakty, dokumenty, zeznania świadków i mnóstwo innych dowodów, to trudno tutaj mówić o naukowym podejściu. I to powinno być już na początku tego procesu zauważane i negowane przez samo środowisko naukowe.

Jeśli zaś chodzi o kary, to sprawa nie jest tak oczywista. Penalizacja takich zachowań zawsze daje możliwość kreowania się tym negacjonistom na obrońców wolności słowa i męczenników za prawdę, szczególnie w ich własnych szeregach. Wystarczy wspomnieć przykład Ursuli Haverbeck, która po wyrokach skazujących i odbyciu kary więzienia jest podziwiana za „nieugiętość i upór” w środowiskach faszyzujących. Na pewno jednak nie można rezygnować z walki z kłamstwem i z dążenia do wyroków, które potwierdzają prawdę.

To, że nie można rezygnować, zdaje się być jasne dla każdego, komu zależy na dobrym imieniu

Polski. Ale jak to zrobić? Ministerstwo Sprawiedliwości często powołuje się na dane naukowe i badania ekspertów, wprowadzając w życie nowe rozwiązania. Czy w przypadku rzeczonego problemu były podejmowane podobne przedsięwzięcia?

Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, czyli instytut badawczy działający z ramienia Ministerstwa Sprawiedliwości, podejmuje wiele inicjatyw nauko-badawczych, których celem jest rozwój prawa polskiego i międzynarodowego, a także reagowanie i odpowiadanie na współczesne wyzwania prawne, takie jak patologie społeczne i zwalczanie przestępczości. Zarówno polscy, jak i zagraniczni eksperci zaangażowani w projekt pod kierownictwem IWS jasno wskazywali, że poprzednie nowelizacje ustawy o IPN nie odpowiadały standardom międzynarodowym, jednak – co bardzo istotne – podkreślali, iż karanie negacjonizmu jest obowiązkiem w świetle prawa międzynarodowego. W konsekwencji wprowadzenie przepisów dotyczących

odpowiedzialności karnej za negowanie zbrodni międzynarodowych (nie tylko historycznych, lecz także współczesnych) jest koniecznością, jest obowiązkiem władz państwowych, aby zwalczać kłamstwa historyczne. W ramach przeprowadzonego projektu wskazano również, jak odbierane są te kwestie w środowisku żydowskim, co ma szczególne znaczenie dla interesów polskich i relacji międzynarodowych. Przeanalizowano również możliwe scenariusze skarg składanych przeciwko Polsce do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w związku ze ściganiem lub nieściganiem negacjonizmu i jakie strategie należy w związku z tym obrać. Mając na względzie, z jakim odbiorem na Zachodzie i wśród „polskiej” opozycji spotyka się ochrona dobrego imienia Polski, postępowania przed międzynarodowymi trybunałami są jak najbardziej prawdopodobne, szczególnie w odniesieniu do ścigania negacjonizmu.

W 2019 r. z dużym rozmachem rozpoczął działalność w Berlinie Instytut Pileckiego, który stara się propagować prawdę o historii drugiej wojny światowej. 8 października tego roku na łamach dziennika „Süddeutsche Zeitung” ukazał się artykuł pod tytułem „Groźna nauka”, który opisuje, jak niemieccy historycy zastanawiali się podczas niedawnego panelu, czy należy zmieniać narrację Instytutu Pileckiego poprzez „bliższą współpracę czy ostracyzm”, krytykując przy okazji politykę historyczną rządu PiS. Wyobraża pan sobie podobną dyskusję polskich historyków o działalności oddziału Goethe-Institut w Polsce?

Różnica pomiędzy polityką historyczną Polski a polityką historyczną Niemiec jest taka, że pierwsza ma na celu zachowanie historycznej prawdy, a druga – jak największe jej zatarcie. Stąd też takie dyskusje, jak ta nagłośniona przez „Süddeutsche Zeitung” – Niemcy szukają zawsze sposobu na to, by znaleźć sposób na zmianę narracji wobec niemieckich zbrodni. A takie zainteresowanie działalnością Instytutu Pileckiego dobrze tylko świadczy o jego działaniach. Widać, że udaje się trafić w istotne miejsca i wzbudzić dyskusję. Zauważmy, że ten sam „Süddeutsche Zeitung” w chwili, gdy w Berlinie otwierano oddział Instytutu, bardzo pozytywnie wyrażał się o jego zadaniach i podkreślał potrzebę takich działań. To pokazuje, że w Niemczech są środowiska, które też widzą potrzebę współdziałania w odkrywaniu i przekazywaniu prawdy. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Najśłynniejszym i najbardziej radykalnym negacjonistą katyńskim jest Jurij Muchin. Stalinista, antysemita i wielkoruski szowinista w jednej osobie. Z wykształcenia inżynier metalurgii. Sławę zdobył jednak jako publicysta historyczny i propagator teorii spiskowych. Jego zdaniem polskich oficerów w Katyniu zamordowali Niemcy. Tezę tę po raz pierwszy obwieścił swoim czytelnikom w 1995 r. w książce pt. „Katyńska powieść kryminalna”. Pisał w niej: „Polscy oficerowie ginęli w katyńskim lesie od niemieckiego strzału w tył głowy. To niezbyt sprawiedliwe. Sowiecka kula – to też niedobrze. Tylko polska kula byłaby najwyższym stopniem sprawiedliwości”. To dowód, że Muchin jest stalinistą z krwi i kości. Jego zdaniem polscy oficerowie zasługiwali na śmierć z rąk rodaków, ponieważ zostali wzięci do niewoli. A to przecież w standardach stalinowskich zdrada ojczyzny...

Co ciekawe, choć misją Muchina jest ponowne przypisanie sprawstwa katyńskiego Niemcom, to jednocześnie z dużo większą sympatią niż o Polakach pisze i mówi on właśnie o Niemcach. III Rzeszę nazywa „bardzo poważnym europejskim bandytą”, II Rzeczpospolitą natomiast określa pogardliwym mianem „europejskiego chuligana”. Stalinista chwali Hitlera za jego agresywną politykę. Oczywiście wobec Polski, nie wobec Związku Sowieckiego. Zdaniem Muchina bowiem „Danzig” (czyli Gdańsk) to odwieczne niemieckie miasto, więc Niemcy mieli moralne prawo „bronić mieszkających tam rodaków przed samowolą polskich ekstremistów i biurokratów”.

Warszawa, odmawiając Hitlerowi spełnienia jego żądań, doprowadziła tak naprawdę do wybuchu drugiej wojny światowej: „Tępi i podli polscy politycy w imię swoich kretyńskich ambicji nie pozwolili na stworzenie sojuszu antyhitlerowskiego, wywołali drugą wojnę światową, w której właśnie polska ludność poniosła największe procentowe straty”. Według Muchina sami są więc sobie winni, że potem Niemcy wymordowali ich oficerów. A teraz jeszcze próbują wbrew faktom o tę zbrodnię oskarżyć Moskwę. Skandal! Moskwa, zdaniem Muchina, też jest sama sobie winna. W 2005 r. ten stalinista zrealizował film pseudodokumentalny pt. „Katyńska podłość”. Próbował w nim udowodnić, że wydany przez Stalina rozkaz likwidacji polskich oficerów to fałszywka, sfabrykowana przez Gorbaczowa.

Ostatniego przywódcę ZSRS porównuje z Goebbelsem, dla którego ma jednak więcej szacunku. Gorbaczow, „kłamcą na temat sowieckiej winy za Katyń”, miał jakoby zrzucić winę na własny naród, aby rozbić Układ Warszawski.

Sam Muchin to karykaturalne uosobienie najbardziej radykalnych, prostalinowskich sympatii Rosjan, stęsknionych za latami świetności geopolitycznej sowieckiego imperium. Jego poglądy w połowie lat 90., na fali jelicynowskie-

na. Dlatego postanowili rozbić jedność koalicji antyhitlerowskiej za pomocą prowokacji. Czyli – oskarżając Moskwę o dokonane przez siebie zbrodnie.

Swoje ahistoryczne tezy zawarł w opublikowanej w 2007 r. książce pt. „Tajemnica Katynia”. Trzy lata później pojawiło się drugie wydanie pt. „Katyń. Współczesna historia problemu”. Autor tłumaczył wznowienie „ogromnym zainteresowaniem czytelników”, ale również potrzebą reakcji na bieżące

Powrót „kłamstwa katyńskiego”

Maciej Pieczyński

Odpowiedzialność Stalina za mord na polskich oficerach jest dziś w Rosji albo rozmywana, albo negowana. A przecież „kłamstwo katyńskie” jest dla prawdy o drugiej wojnie światowej nie mniej groźne niż „kłamstwo oświęcimskie”

go okcydentalizmu, postrzegane jako skrajne i marginalne, dziś zyskują coraz więcej zwolenników.

LENISTWO NKWD

Negacjoniści katyńscy są poważnie traktowani również przez państwowe media. „W rozmowie z agencją RIA Nowosti Władysław Szwed przytoczył cały szereg faktów, które – jak przekonuje – świadczą o tym, że Katyń był dziełem nazistów, a nie stalinowskiego kierownictwa NKWD” – można przeczytać na stronie samej agencji, w artykule opublikowanym w marcu 2020 r. Władysław Szwed to publicysta historyczny, politolog i polityk, prominentny działacz Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji Władimira Żyrinowskiego. W wywiadzie dla rządowej agencji przekonywał, że „naziści” po klęsce pod Stalingradem uświadomili sobie, że do pokonania ZSRS nie wystarczy im jedynie potęga militar-

wydarzenia. Szwed skrytykował politykę Kremla, który po katastrofie smoleńskiej wykonał parę gestów pod adresem Polski, jednoznacznie podkreślając odpowiedzialność Stalina za zbrodnię. „Współcześni antystalinieści z powodzeniem stosują stalinowskie metody dławienia odmiennych poglądów” – pisał Szwed. Publicysta w swoich książkach i wypowiedziach medialnych przytacza absurdalnie brzmiące, rzekome „dowody” na niemiecką winę. Oto, na przykład, zamordowani oficerowie mieli być pochowani w pełnym umundurowaniu, wraz z odznaczeniami wojskowymi, których noszenia zabraniały regulaminy sowieckich obozów jenieckich. Inny „dowód”: masowe groby były bardzo głębokie i wypełnione wieloma warstwami równo ułożonych trupów, a przecież wiadomo, że tylko słynący z zamięłowania do porządku Niemcy byliby do czegoś takiego zdolni – enkawudzistom nie



Szczałki mjr. Adama Solskiego z 57. Pułku Piechoty, zidentyfikowane w 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ chcieliby się tak starać, a gestapowcom musiało zależeć na maksymalnym wypełnieniu starannie wykopanego dołu. Ponadto o falsyfikacji zbrodni miał również świadczyć fakt, że część oficerów, których nazwiska znalazły się na ogłoszonej przez Niemców liście katyńskiej, tak naprawdę nie zginęła w katyńskim lesie. Przecież pomyłki być nie mogło, to musiało być ukartowane! – sugeruje rosyjski publicysta. „Przypisywanie” Sowietom winy za zbrodnię w podsmoleńskich lasach nazywa „nazi-stowsko-polską wersją”.

Dwa lata temu ukazała się książka pt. „Katyń. Kłamstwo, które stało się historią” Jeleny Prudnikowej. Publicystka, podobnie jak Muchin, nie ma wykształcenia historycznego. Jest fizykiem. We wstępie książki zaznacza, że są dwie, mocno udokumentowane i argumen-

towane, wersje tego, co się wydarzyło w Katyniu: wina Hitlera i wina Stalina. W toku rozważań rozpatruje też problem zbrodni z „etycznego” punktu

**Muchin, Szwed, Prudnikowa
czy Goriaczenkow
otwarcie szerzą
„kłamstwo katyńskie”**

widzenia. Jej zdaniem, skoro Armia Czerwona wyzwoliła Polskę od Hitlera, który wymordował około jednej czwartej polskiej ludności, to zgłaszanie pretensji do państwa, „dzięki któremu nie tylko Polska, lecz także Polacy istnieją jeszcze

na kuli ziemskiej”, po prostu nie przystoi. Ostatecznie Prudnikowa przyznaje rację tej pierwszej wersji. Na okładce książki, nad tytułem, widnieje motto, cytat ze Stalina: „Po mojej śmierci na moją mogiłę wysypią górę śmieci, ale wiatr historii bezlitośnie ją rozmiecie!”.

„Katyń. Spekulacje na tragedii” – to z kolei tytuł wydanego w 2016 r. opowiadania dokumentalnego Grigorija Goriaczenkowa. Pisarz przybliży czytelnikom „historię polskich oficerów, więźniów trzech specjalnych obozów GUŁagu w obwodzie smoleńskim, rozstrzelanych przez niemieckich okupantów jesienią 1943 r.”. „W książce zdemaskowane zostały insynuacje antysowieckich i rusofobicznie zorientowanych autorów dotyczące okoliczności tragicznej śmierci Polaków” – czytamy w notce reklamującej publikację.

KREML TORPEDUJE

Muchin, Szwed, Prudnikowa czy Goriaczenkow otwarcie szerzą „kłamstwo katyńskie”. Bez większego wsparcia, ale i bez słowa krytyki ze strony władz rosyjskich. Jednak Kreml w mniej oczywisty niż publicyści negacjoniści sposób torpedował prawdę o tej zbrodni już wcześniej. W zasadzie od momentu, w którym tę prawdę oficjalnie uznał. W komunikacie agencji TASS z kwietnia 1990 r. Katyń nazwano „jedną z najcięższych zbrodni stalinizmu”. Jednocześnie prozachodni liberał Gorbaczow polecił swoim służbom wykreować narrację o analogicznej zbrodni, dokonanej przez Polaków na obywatelach sowieckich. Anty-Katyniem stała się tragedia czerwonarmistów wziętych do niewoli podczas wojny 1920 r. Umierali z głodu i chorób. Nie ma żadnego dowodu na to, że była to planowa eksterminacja. To jednak nie przeszkadza Moskwie i jej akolitom od 30 lat powtarzać kłamstwa o „polskich obozach koncentracyjnych” i forsować w ten sposób rzekomą symetrię win pomiędzy Polakami a Rosjanami. W kwietniu 2017 r., tuż przed kolejną rocznicą zbrodni, na cmentarzu w Katyniu została zamontowana tablica, informująca o „zagładzie dziesiątek tysięcy czerwonarmistów”, „zameczonych” w polskiej niewoli. Rok później powstało tam muzeum, gdzie zaprezentowano wystawę na temat stosunków polsko-rosyjskich w XX w. Można było się z niej dowiedzieć m.in. o „tysiącach żołnierzy Armii Czerwonej, którzy ginęli w polskich obozach koncentracyjnych”.

O ile zatem „kłamstwo katyńskie” jest cieszącym się cichą akceptacją Kremla, ale za to wciąż marginalnym zjawiskiem, o tyle manipulacja katyńska jest już oficjalną, otwarcie rozpowszechnianą narracją. Można ją streścić następująco: „Tak, nasi zabili waszych. Ale wcześniej wasi zabili naszych”. Związek przyczynowo-skutkowy ma tu znaczenie niebagatelne. Bo przecież z etycznego punktu widzenia ważne jest, kto pierwszy rzucił kamieniem. Skoro najpierw zabijali Polacy, to zawsze mord na Polakach można przedstawić jako zemstę. A zemsta, choć problematyczna, to jednak często daje się nie tylko uzasadnić, lecz także usprawiedliwić. „Wstyd się przyznać, ale nie wiedziałem, że w 1920 r. w wojnie polsko-sowieckiej dowodził osobiście Stalin [...]. I wówczas, jak wiadomo, Armia Czerwona poniosła porażkę. Do niewoli zostało wziętych wielu czerwonarmistów. Według ostatnich danych z głodu i chorób w polskiej niewoli zmarło ich 32 tys. [...] Przepuszczam, powtarzam, to moje osobiste zdanie, że Stalin czuł osobistą odpowiedzialność za tę tragedię. I, po drugie, rozkazał wykonać tę egzekucję [na Polakach w Katyniu – przyp.



Uroczystości ku pamięci pomordowanych w Katyniu, Warszawa, 2007 r.

FOT. MACIEJ SZCZEPANCIK/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

W 2014 r. w Rosji wprowadzono karę więzienia za rozpowszechnianie fałszywych informacji o roli ZSRS w drugiej wojnie światowej

red.], powodowany uczuciem zemsty” – to fragment przemówienia Władimira Putina, wygłoszonego w Katyniu 7 kwietnia 2010 r. Ówczesny premier Rosji przyznał przy tym, że zbrodniczy akt, powodowany zemstą, „nie przestaje być zbrodniczy”. To jednak nie zmienia faktu, że to przemówienie stało się jednym z fundamentów manipulacji katyńskiej.

Tymczasem teza o okrutnej, ale sprawiedliwej zemście Stalina za osobistą klęskę i tragedię czerwonarmistów nie wytrzymuje krytyki. Wiadomo przecież, że dyktator traktował kapitulację jak zdradę. Zresztą, jak dowodzą historycy Stowarzyszenia Memoriał, w ramach tzw. operacji polskiej NKWD sowieccy jeńcy, którzy mieli nieszczęście wrócić do ojczyzny z polskich obozów, zostali... oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Polski i poddani

represjom, na równi z mordowanymi ze względu na pochodzenie Polakami żyjącymi w ZSRS. „Można zadać pytanie: Z jakiej racji Stalin miał się mścić na Polakach za wziętych do polskiej niewoli czerwonarmistów, skoro w 1937 r. w ZSRS dobijano tych spośród nich, którzy przeżyli i wrócili?” – pytał retorycznie Nikita Pietrow, wiceprzewodniczący Memoriału, na łamach „Nowej Gazety”.

ARTYKUŁ 53

Pietrow już w 2013 r. pisał o „podwójnej grze Kremla” wokół Katynia. Jego zdaniem Moskwa na użytek zewnętrzny wypuszcza polityczne deklaracje i oświadczenia uznające odpowiedzialność stalinowskiego kierownictwa za rozprawę z obywatelami polskimi w 1940 r. W kraju natomiast „potakuje nostalgicznej idealizacji socjalistycznej przeszłości i nie ucina mnożących się spekulacji o tym, że jakoby nie wszystko jeszcze jest jasne w sprawie tej zbrodni, że może to jednak Niemcy są winni”. Od tamtego czasu jest coraz gorzej. W 2014 r. w Rosji wprowadzono karę do pięciu lat więzienia za negowanie zbrodni nazistowskich i za rozpowszechnianie fałszywych informacji o roli Związku Sowieckiego w drugiej wojnie światowej. W lipcu 2021 r. Putin podpisał ustawę zakazującą rozpowszechniania roli ZSRS i „faszystowskich” Niemiec w drugiej wojnie światowej. Jej wprowadzenie uzasadniał „próbami zakłamywania historii”. Polski historyk, piszący o sowieckich zbrodniach, może więc podlegać w Rosji odpowiedzialności karnej.

– Na poziomie międzynarodowym nie ma skutecznych instrumentów prawnych do walki z „kłamstwem katyńskim”. Wszelkie próby tworzenia takich rozwiązań są traktowane jako atak na wolność słowa czy badań naukowych, nawet jeśli ich celem jest przeciwdziałanie sterowanej politycznie, państwowej propagandzie, która z jakąkolwiek wolnością nie ma nic wspólnego – mówi „Do Rzeczy” mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris. – Pewną możliwość daje natomiast nowelizacja ustawy o IPN. Artykuł 53 pozwala pozywać przed sądem cywilnym w Polsce tych, którzy naruszają dobre imię Polski i narodu polskiego. Powództwo takie może wytoczyć organizacja pozarządowa w zakresie swoich działań statutowych. Przepis ten nie stał się jeszcze przedmiotem konsekwentnej linii orzecniczej polskich sądów. Uruchomiliśmy jako instytut kilka spraw na tej podstawie prawnej. Spraw możliwie mało kontrowersyjnych, mamy bowiem świadomość, że polityka historyczna to delikatna kwestia i łatwo tutaj wywołać atak medialny i niesprzyjającą postawę sądów – dodaje.

Prezes Ordo Iuris generalnie uważa jednak, że wyrok sądu nie może być jedynym narzędziem walki o prawdę. – Penalizacja kłamstwa zawsze może być potraktowana jako atak na wolność słowa. Dlatego spór o przeszłość powinien dotyczyć się głównie w przestrzeni narracyjnej. Polityka historyczna to najskuteczniejszy instrument walki o prawdę – mówi Kwaśniewski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone